Nr. 48. Lwów — 1889 r. **Rok XII.**

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct. **Numer pojedyńczy 15 ct.**

Dziennik dla wszystkich illustrowany.

„Goniec“ i **„Iskra“** wychodzą każde po dwa razy na miesiąc, w czwartki — razem cztery razy. Prenumerata *na obydwa pisma* wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi drobną kwotę co miesiąc.

*Właściciel i naczelny redaktor: **M. D. Chamski.***

Posłowie Sejmu w Galicji.



Stanisław hrabia Tarnowski (sen.). Jerzy książe Czartoryski. Ludwik hrabia Wodzicki.

(Patrz artykuł pod tym samym tytułem).

Od Administracji.

Szanownych pp. abonentów zalegających w prenumeracie, prosimy usilnie o odnowienie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zaległości takie są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe i po prostu krzywdę jego interesom wyrządzają. Zwracamy też bliższą uwagę pp. prenumeratorów w Ameryce zamieszkałych i prosimy ich o odsełanie zaległej prennmeraty, bo osobna z nimi korespondencja jest kosztowna.

Wszelkie pieniężne należytości prz sełać należy w liście rekomendowanym, lub przekazem pocztowym **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie ul. Kraszewskiego liczba 23.**

Posłowie Sejmu w Galicji.

(Do portretów).

Przedewszystkiem zastrzedz się musimy, że pomieszczając wizerunki posłów sejmowych, ani mieliśmy, ani mamy zamiar pisać ich życiorysy. Z wielu bardzo powodów nie uważalibyśmy to za stosowne, raz dlatego, że do podobnego rodzaju artykułów potrzeba odpowiedniego osobistego materjału, o który nie tak łatwo, a powtóre, charakter posła, nawet bardzo pożytecznego, pomimo tego stanowiska publicznego, nie robi go niczem innem, jak zwykłym człowiekiem mniej więcej wykształconym, jeśli osobiste talenta, nauka, urodzenie i szczególne jakieś cnoty obywatelskie, nie podniosą go ponad zwykły poziom i nie zrobią człowiekiem znakomitym w swoim rodzaju, wybitnym, lub przynajmniej głośnym. O pierwszych zwykłych, a pożytecznych pracownikach nie ma co pisać — drugich, w takim zakresie, jak my piszemy, można tylko dać najogólniejszą charakterystykę, bo na portrety polityczne i społeczne, jak powiedzieliśmy wyżej, potrzeba mieć odpowiedni osobisty materjał i, aby nie być panegirystą, trzeba by dotknąć niejednego drażliwego szczegółu, a to nie zawsze można i nie zawsze należy...

Przy rozpoczęciu nowej kadencji sejmowej, zamieściliśmy przedewszystkiem wizerunek marszałka sejmu Jana hr. Tarnowskiego; potem nastąpiły trzy portrety arcybisknpów lwowskich, którzy z mocy swoich urzędów zasiadają również w sejmie i posiadają tak nazwany głos wirylny. W dalszym ciągu, w obecnym numerze, podajemy znowu trzy wizerunki trzech posłów sejmowych.

Książe Jerzy Czartoryski, należy do tych mężów publicznych, którzy wyrobiwszy sobie samodzielne poglądy, nie wiążą się niczem i idą po tej drodze, po której iść im każe patrjotyzm i sumienie polityczne. Poseł ten zna z gruntu stosunki nasze, ale zna także stosunki i innych narodów, które w grę wchodzą z polską polityką. Głos ks. Jerzego Czartoryskiego w każdym parlamencie, jest dla wszystkich stronnictw niezmiernej wagi — liczą się z nim przeciwnicy zapatrywań księcia i nawet nieprzejednani wrogowie naszej narodowości. Inteligencja to obejmująca szerokie horyzonty, a przytem pełna ujmnjącej prostoty, popularności, słodyczy charakteru i pociągającej łagodnością i dobrocią. Jest głębszą prawdą, co kronikarz nasz o księciu powiedział w przeszłym numerze „Iskry", w wierszowanej liście posłów:

W sprawach publicznych niczem się nie wiąże,
Wprzód jest polakiem, a potem zaś książe...

Stanisław hrabia Tarnowski, jako literat, a szczególniej krytyk i estetyk, zajmuje jedno z najdonioślejszych stanowisk w piśmiennictwie polskiem. Praca literacka hr. Stanisława Tarnowskiego jest już ogromna, o której możnaby osobne tomowe studjum literackie i polityczne napisać. Jest to mąż niezwykłej miary, niezwykłego charakteru i niezwykłego talentu. W sejmie jest powagą w całem znaczeniu tego wyrazu, choć nie często odzywa się publicznie. Z przekonaniami politycznemi Stanisława hr Tarnowskiego. można się nie zgadzać, można z niemi walczyć — ale kto jest sprawiedliwy i umie głębiej myśleć, a bystrzej patrzeć, ten przyznać musi we wszystkich jego pracach i postępowaniu, nietylko dobrą wiarę w najszlachetniejszem znaczeniu, ale rozumną miłość dla swego narodu i rycerskość w najlepszym stylu. Stanisław hr. Tarnowski jest profesorem literatury polskiej na uniwersytecie jagiellońskim i jeneralnym sekretarzem akademji umiejętności.

Ludwik hr. Wodzicki, były marszałek sejmu krajowego, obecnie gubernator banku dla krajów koronnych w Wiedniu, na które to stanowisko powołany i zatwierdzony został przez najjaśniejszego pana. Jest to jeden, niezawodnie, z najzdolniejszych i najbystrzejszych mężów politycznych w naszym kraju. Posiada wiedzę niezwykłą, a dłuższy pobyt w Londynie. gdzie się oddawał poważnym studjom, wyrobiły w nim grunt silny, który się jeszcze bardziej skrystalizował doświadczeniem i praktyką życia. W zapatrywaniach swoich i przekonaniach, Ludwik hr. Wodzicki jest nieugięty, do ustępstw żadnych nie skory, obłudy nie lubi, ale przed byle kim i byle gdzie nie wywnętrza się; robi też dużo dobrego, ale nigdy o tem nie mówi. W walce swego stronnictwa konserwatywnego, nie idzie drogami ubocznemi, zaciętym nie jest, ale z największą cierpliwością będzie stał na miejscu, a nie cofnie się.

Zasadom swoim pozostanie, niezawodnie, na zawsze wiernym, a najdotkliwsze ataki nieprzyjaciół politycznych, nie złamią go nigdy.

Od ręki.

= Gliniaste szczęście...

Bywa rozmaite szczęście: do ludzi, do kobiet, do kart, i t. p., ale żeby mieć szczęście do gliny i temu szczęściu zawdzięczać niebywały dobrobyt, to się zdażyć może chyba takiemu Kingenbergerowi, miasteczku położonemu nad Menem, w Dolnej Frankonji. Posiada ono tak bogate kopalnie gliny, że dochód z nich wystarcza na wszystkie jego potrzeby, a nawet je przewyższa; obywatele zatem nietylko nie płacą żadnych, a żadnych podatków, ale od czasu do czasu otrzymują pewne subsydja z kasy miejskiej. Tak n. p. w tym roku *in gratiam* święta sedańskiego, otrzymał każdy dorosły klingenberczyk 3 marki, wszystkie zaś dzieci uczęszczające do szkoły po 30 do 50 fenigów. Żeby u nas, we Lwowie, taka glina była, tobyśmy ją łyżkami jedli..

= Cyklistki amerykańskie.

Damy w Nowym Yorku zdołały zawiązać klub cyklistek fraternizujący z klubem cyklistów. Otóż, kilka „członkiń" tego klubu, bawiących na wystawie paryzkiej, postanowiło wracać do domu na bicyklach. Bohaterki welocypedu, z Paryża puściły się na stalowych rumakach przez Bordeaux do Marsylji. Co potem poczęły, czy w dalszą drogę udały się statkiem parowym, czy wpław przez morze do Ameryki, dotychczas nie wiadomo...

= Rodzina poety Heinego.

Z rodziny poety Henryka Heinego, do której należy także przyszła księżna Monaco, wdowa po księciu Richelieu (z domu Heine), wyznają obecnie jeszcze tylko dwie osoby wiarę żydowską, mianowicie: osmdziesięcioletnia pani Euden, siostra poety, i stara pani Furtado Heine, wdowa po bankierze Salomonie Heinem, stryju Henryka, która cały swój majątek, wynoszący 70 milionów franków, przeznaczyła na cele dobroczynne, za co uzyskała od rządu francuskiego oder legji honorowej. Reszta rodziny Heinych przeszła już dawno na łono chrześciaństwa i nmiała się postarać o wysokie koligacje.

= Dlaczego starzy kawalerowie nie żenią się.

Jedno z pism niemieckich, rozpisało następujący konkurs: „Prosimy wszystkich starych kawalerów, aby byli łaskawi podać nam przyczyny, dlaczego się nie ożenili!" Przysłano 147 oświadczeń, nad którymi miał rozstrzygać sąd honorowy, składający się z jednej młodej niezamężnej damy, jednej zamężnej w średnim wieku i jednej owdowiałej, starszej teściowej. Po bardzo długich naradach przyznano nagrodę panu Reinholdowi, Leypoldtowi z Esslingen. Zdania tegoż pana brzmiały, jak następuje:

„Od pierwszej młodości byłem człowiekiem ambitnym i ubiegającym się o wszelkie wiadomości; wszystko było mi za mało i wciąż piąłem się na wyzsze szczeble doskonałości ludzkiej, przytem myślałem zawsze o tem, że dobrze jest temu, kto ma żonę, ale jeszcze lepiej temu, kto jej nie ma.

Jako idealista twierdziłem. że błędnem jest zdanie, jakoby do małżeństwa zastosować można myśl poety: dwie dusze i jedna myśl, dwa serca i jedno uderzenie.

Jako idealista musiałem twierdzić, że ponieważ prawdziwego szczęścia małżeńskiego tylko mało mężczyzn zażywa, tak samo, jak się to ma rzecz wygraniem wielkiego losu, dla tego właśnie, wziąwszy pod uwagę smutne widoki przyszłości, jako małżonek, nie ożeniłem się.

Jako egoista oświadczam:

Nasamprzód „ja", potem jeszcze „ja" i w końcu także „ja" — poco zatem mam zniweczyć moje własne „ja".

Jako dziwak mówię; „bogatej panny nie chcę, a biednej nie mogę potrzebować!"

Wszyscy inni konkurenci mówili przeważnie o tem, że własne ognisko domowe — familja — krewni — wszystko to bardzo dużo pieniędzy kosztuje, czasy obecne bardzo kiepskie — a żony zaś wiele wymagają. Niektórzy twierdzili, że strach przed teściową nie pozwolił im wejść w związki małżeńskie.

Jeden z nich napisał, że ojcem zostać, to bagatela, ale ojcem być, to bardzo trudna sprawa.

Jakiś obywatel z Haiti, wyspie leżącej na Atlantyku powiedział, że czarnej żony nie chce, a białych dziewcząt tam nie ma.

= Nadobna złodziejka.

Jest nią cudowuej urody 17-letnia amerykanka, Etta Robinson, która zarazem jest najdzielniejszym na całą Amerykę końskim złodziejem. Dziwy opowiadają o zuchwalstwie jej wypraw złodziejskich, o przepływaniu rzek, sadzeniu przez płoty i wąwozy na skradzionych koniach, o żywieniu się jej po lasach jagodami i korzonkami. Chwytano ją już kilka razy, ale zawsze piękność jej rozbrajała okradzionych i sądy. Obecnie przydybano ją znowu i stawiono przed sądem w Parkensburgu, w Wirginji. Już i tu udało się jej wzruszyć serce dozorcy więzienia, który olśniony jej wdziękami, pofolgował jej rygoru, w jakim mu trzymać ją polecono. Ona skorzystała też z tego niebawem i na własnym owego dozorcy koniu uciekła. Złapano ją, wprawdzie, napowrót po dniach dziesięciu, ale co z tego, kiedy, prawdopodobnie uwolnioną zostanie: oczarowała, bowiem, nietylko sąd, ale wszystkich mieszkańców Parkesburga, którzy wszelkiemi siłami starają się o zdjęcie z niej odpowiedzialności. No, i mówić tu, w obec takich faktów, o niewoli i upośledzeniu kobiet przez ród męzki!..

= Ślub.

Nie piszemy o takich uroczystościach prawie nigdy i dziś nie pisalibyśmy, gdyby nie to, że zawarty został pomiędzy izraelitą i izraelitką w synagodze, a po polsku..

Pan Zygmunt Atteslaender z Pleszowa z pod Krakowa, pojął za małżonkę pannę Kohn, z Kongresówki. Ceremonja ślubu, która się odbywała w synagodze w Krakowie, dopełnioną została po polsku. Odbył się więc ślub, prawdziwie, pomiędzy polką, a polakiem *mojżeszowego wyznania*...

Nie bardzo to, wprawdzie, wesołe stosunki, że takie fakta wśród żydów naszych są rzadkie, i, że aż podnosić publicznie trzeba takie zwykłe fakta — ale niewinni temu państwo Atteslaender, a za ich uczciwą i obywatelską solidarność ze społeczeństwem wśród którego się urodzili i wzrośli — niech przyjmą dla swego domu staropolskie: „Boże pomagaj!“

Złowroga piękność.

Przekład z angielskiego **E. H.**

przez autorkę „Miłość jego życia“.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 58 „Iskry“).

Odpowiedź Vidy była charakterystyczną:

— Nie sądzę, aby mi coś groziło, lecz jeśli tak jest w istocie, przygotowawą jestem na to; gdybym zapomnieć miała krzywd twoich, zasłużyłabym na cierpienie; niechże więc moje serce krwawi się i pęka — jego również krwią się obleje...

— Dlaczego nie kończysz, Vido?

— Skończyłam; serca mężczyzn nie pękają z miłości, — odrzekła dziewczyna, podnosząc się z krótkim, złośliwym uśmiechem.

— Inne kobiety tego nie warte; ale ty, Vido.. Ba! nie drżyj i nie patrz na mnie takiemi oczyma. — Czyż sobie nie zdajesz sprawy z tego, jak wielką jest twoja potęga?

— Matko! — zawołała Vida, — ty ranisz mnie.

Widocznie Estera Ransome nie mogła zrozumieć natury swego dziecka, lecz posiadała takt i umiała milczeć; westchnęła, jednak, z cicha, z lekką niecierpliwością, gdy się Vida odwróciła do okna. Czuła się w podobnem położeniu, jak człowiek, pragnący spożytkować rażące światło, którego własności nie zna dokładnie i obawia się zbliżyć ku niemu, z obawy, że nieostrożnie się z niem obchodząc, zaszkodzić sobie może.

Vida natychmiast prawie odzyskała władzę nad sobą i odwróciła się od okna, lecz wnet dał się słyszeć turkot nadjeżdżającej karety a po chwili pukanie służącego do drzwi.

— Lady Morvyn przyjechała po mnie, — rzekła z żywością Vida, a pani Ransome pospiesznie ubierać się zaczęła, podczas, gdy córka kładła kapelusz.

Zanim nadeszła służąca Vidy, już Estera Ransome zamieniła się w ubogą, skromną kobiecinę — Mrs. Bedford, niegdyś *bonę* Vidy w dziecinnym wieku, dla której piękna miss Carolan dotąd łaskawe względy zachowała; gdy Lucyna oznajmiła, że lady Morvyn znajduje się w bawialnym pokoju, Vida uścisnęła dawniejszą swą bonę i rzekła pieszczotliwie:

— Wszak przyjdziesz do mnie znowu niezadługo? Napiszę do ciebie w tych dniach, gdy będę miała chwilkę wolniejszą; napijemy się razem herbaty. A teraz, do widzenia.

Pani Bedford polecona została staraniom Lucyny, która nie śmiała lekceważyć osoby, mającej względy jej pani, chociaż dumna garderobiana z góry spoglądała na nędzną odzież guwernantki.

Wspaniała kareta lady Morvyn, zaprzężona w parę ślicznych kasztanów, stała na ulicy, gdy Estera wychodziła z domu; lokaj obrzucił ją podejrzliwem wejrzeniem. Nikt tak nie gardzi ubogimi ludźmi, jak sługa bogacza, którego ojciec był może woźnicą, a matka praczką. Estera uśmiechnęła się gniewnie, dostrzegłszy spojrzenie pełne pogardy i pomyślała: żeby ten sługus wiedział kim jestem i kim jest modna piękność, przed którą skłonił się do ziemi prawie, czyżby mu nie przyszło do głowy, że nadto poniża jednę z nas i zawiele okazuje uszanowania drugiej?

Vida Carolan zbliżyła się do karety w swej blado-kremowej sukni z atłasem i powiewnych piórach na kapeluszu, rozlewając w powietrzu zapach najwyborniejszych pachnideł.

Jakże musiało być szczęśliwem to zepsute dziecię wielkiego świata. Przyroda i fortuna obsypały ją najrzadszymi i najbogatszymi darami swymi — musiała być rzeczywiście niezmiernie szczęśliwą!

ROZDZIAŁ V.

Piknik „Angela“.

Na niebie bez chmurki słońce świeciło jasno ponad pięknym ogrodem lady Mansfield przy ulicy Campden-hil, a że gospodyni domu słynęła z gościnności i uprzejmości, i nie zapraszała gości nad miarę, tak iż nigdy nie tłoczono się u niej, piknik zapowiadał się bardzo pomyślnie, tem bardziej, że na nim być miała panująca piękność i pożądany Dave Devereux, o którego uśmiech tyle matek i panien na wydaniu dobijało się daremnie, gdyż lord z King's-Royalu miał dotąd serce ze stali, chociaż przeżył już trzydzieści pięć lat z górą.

Łączka, na której zebrane znajdowało się już towarzystwo, jaśniała różnobarwnymi strojami dam. — Gdy lady Morvyn zbliżyła się z Vidą, wszyscy zwrócili na nowoprzybyłą spojrzenia i wkrótce skupili się w około niej. Niektórych gości znała — innych jej przedstawiono, ją zaś zaprezentowano starszym paniom.

Szybki rzut oka przekonał Vidę, że Devereux'go nie ma; nie dojrzała, ani jednej twarzy podobnej do opisu człowieka, którego nie znając wcale, śmiertelnym była wrogiem; i doznała uczucia ulgi, dostrzegłszy, że jeszcze nie nadszedł.

— Pozwoli pani, miss Carolan, że ją zapoznam z siostrzenicą moją, — odezwała się lady Mansfield; — będziecie pewnie sympatyzowały z sobą, bo i ona jest bardzo zamiłowaną w sztukach pięknych, chociaż nie taką, jak pani artystką.

— Bądź pani łaskawą nie robić mi fałszywej sławy, — rzekła z uśmiechem Vida, idąc obok gospodyni przez łączkę ku wyniosłej akacji, — nie potrafię jej utrzymać i mimowoli uchodzić będę za osobę przywłaszczającą sobie to do czego niemam prawa.

— Nie masz pani prawa zapierać się tego, co rzeczywiście posiadasz, Miss Carolan; nie protestuj pani daremnie. — Oto jest moja siostrzenica.

Młoda osoba, prześlicznie ubrana, bardzo piękna i powabna, chociaż dumny zarys ust psuł nieco dobre wrażenie, jakie wywierała na pierwszy rzut oka, podniosła mdlejące spojrzenie, gdy ciotka i Vida Carolan zbliżyły się do niej. Siedziała na nizkiej ogrodowej ławeczce i prowadziła najpustszą w świecie rozmowę z Denzilem Stauntonem, który należał do estetycznej szkoły, pisał nędzne wiersze w albumach młodych panien, a wieść głosiła, że jego gabinet do zajęć literackich i nawet sypialnia zastawione były całe od góry do dołu porcelaną i przyozdobione pawiemi piórami.

— Heleno, przedstawiam ci miss Carolan, moja siostrzenica, lady Helena Leicester.

Najstarsza z sześciu córek niebogatego markiza Dunbrooke, a zatem mająca pierwsza nadzieję wyjścia zamąż, lady Helena skłoniła się powoli; następnie gospodyni przedstawiła Vidzie pana Stauntona i innych młodych ludzi, którzy przyłączyli się do grupy, — ponieważ wszędzie w około Vidy skupiało się grono zainteresowanych nią osób, — i wnet zawiązała się wesoła, ożywiona rozmowa, a lady Helena spostrzegła, że nowoprzybyła zaćmiła ją nietylko pięknością, lecz dowcipem i sprytem. Zdawało się, że mężczyźni dla niej tylko mają oczy i uszy, a Helena Leicester przyzwyczajoną była do odbierania hołdów i zwracania na siebie szczególnej uwagi.

— Prawdopodobnie, gdy nadejdzie Dave Devereux, pójdzie za przykładem innych, — pomyślała, — i zapomni o dawnych czasach; chciałabym też wiedzieć, co to za jedna ta Vida Carolan?

Powtórzyła głośno to pytanie ciotce, a ta się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

— Nie pytaj mnie o to, moja droga Heleno; zkądże mam wiedzieć więcej niż wszyscy? Jest ona prawdziwą lady i osobą z niepospolitem wykształceniem.

— Lecz jeśli pochodzi z dobrego rodu, pocóż ta cała tajemnica? — odpowiedziała Helena. — Towarzystwo przyjęło ją jedynie na wiarę, a ściele się do jej stóp i uwielbia bez miary. Ona nie jest angielką, chociaż chce za nią uchodzić.

— Nie zupełnie, — odrzekła lady Morvyn; — widać, że w jej żyłach płynie także krew cudzoziemska; a przytem, wychowała się zagranicą, lecz nazbyt dobrze mówi po angielsku, jak na cudzoziemkę, chociaż nie w taki sposób, jak rodowita angielka. Co do tego, że została przyjęta w towarzystwie, inna to już kwestja.

— Więc i ciocia jest jedną z jej wielbicielek?

— Moja droga Heleno, — rzekła z żywością lady Mansfield, — nie bądź nierozsądną. Gdybym nawet chciała, nie mogłabym zimno traktować osoby, którą dawna moja przyjaciółka wzięła pod swoją opiekę, a świat cały przyjmuje z uwielbieniem. Teraźniejsze towarzystwo zbyt pohopnie sądzi ludzi z pozoru, lecz trzeba iść mniej więcej z biegiem czasu; a jeśli przyjmujemy u siebie jakąś amerykankę, mniemaną wdowę, która w końcu okazuje się osobą nawet nie bardzo przyzwoitą, można śmiało otworzyć dom swój wytwornej i pięknej Vidzie Carolan.

— O której nikt nic nie wie, — obstawała przy swojem Helena.

— Daj pokój, kochanko — widzę doskonale czemu to zielono-oka żmijka wypuszcza żądełko z twojej ładnej buzi. Zarumień się jeszcze więcej, właśnie na to stosowna pora, gdyż oto przyczyna twego niezadowolenia, Dave Devereux, zbliża się do nas.

Vida usłyszała to nazwisko i dostrzegła, że kilka osób witało nowoprzybyłego. Na chwilę serce w niej zamarło, następnie gwałtownie bić zaczęło, lecz zapanowała nad sobą i rzuciwszy obojętne spojrzenie na pożądanego widocznie gościa, ujrzała wysokiego, szczupłego, bardzo pięknego mężczyznę, ze złocistymi włosami, następnie rozstąpiło

się otaczające ją koło i lady Mansfield zbliżyła się z Davem Devereux.

Padły kabalistyczne wyrazy, bez których mężczyzna i kobieta spotykający się pod jednym dachem, nie powinni się dostrzegać wzajemnie i Dave Devereux pochylił swą piękną głowę przed Vidą Carolan, a gdy ją podniósł, spotkały się ich spojrzenia i jej oczy spuściły się ku ziemi przed jego wzrokiem, wyrażającym więcej, niż uwielbienie, coś niby zachwyt, z najgłębszą czcią zarazem. W naturach szlachetniejszych widok rzadkiej piękności budzi wznioślejsze i czyste uczucie; jest to niby instynktowne uznanie doskonałości, domagającej się hołdu. Czujemy niby dotknięcie ręki bóstwa, a jeśli nawet duch zamieszkujący niezwykle piękne kształty nie pozostaje z niemi w harmonji zupełnej, sama forma przemawia do duszy i budzi w niej podniosłe uczucie piękna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika z tamtego świata.

Lwowskie kalendarze — ich los smutny — przedwczesne urodziny, przedwczesna śmierć. Klęska głodowa — co o niej mówią w Sejmie. Frazesy. Trochę o naszych chłopach i o książkach dla nich. Czego nam brak.

V.

Kalendarze lwowskie mają ustaloną reputację — gorszych nie ma pod ciemną gwiazdą. Oczywiście, są wyjątki, bo gdzież ich nie ma — wszak, mówią, że wśród moskali, jest ze siedmnastu uczciwych ludzi — więc, dlaczegożby pomiędzy lwowskimi kalendarzami nie miało być takich, które przecież coś warte. Ale nie o tem chciałem mówić, a właściwie nie z tej strony chciałem poruszyć *kwestję kalendarzową* — nota bene, dziś wszystko jest *kwestją* i wszystko się *porusza*. Owoż tedy, lwowskie kalendarze, prosimy uważać, gdyż mówię wyraźnio, na rok 1890, tak się zaczęły wcześnie *ruszać*, że już znalazły się na Krakowskiem, na żydowskich straganach... Jest ich tam przeróżnego kształtu, kalibru i koloru takie mnóstwo, że w tym roku kurs makulatury na naszej giełdzie lwowskiej spadnie niezawodnie, a kto wie, czy krachu czasem nie będzie i, czy niektórzy wydawcy lwowscy w skutek tego nie zawieszą wypłat...

Po co, ostatecznie, wydają się te kalendarze we Lwowie, kiedy zanim się rok dla nich zacznie, wędrują do handełesów, na krakowskie»... — I kiedy, właściwie, jest cena dla nich taka, jak wydrukowane jest na okładkach, bo dziś np. mamy jeszcze mniej więcej dwa miesiące do Nowego roku, a te kalendarze, które niby mają kosztować po 50 centów, na krakowskiem żydzi sprzedają po 20 i po 15 centów, a w styczniu te same kalendarze można będzie kupić po 10 i 8 centów. Mnóstwo też jest *tegorocznych* kalendarzy lwowskich, ale te już sprzedają się na wagę. Ubył, wprawdzie, światu *kalendarzowo-wydawniczemu* niejaki p. Bodek, który uważał za stosowne przed kilku miesiącami zbankrutować i, który wydawał aż dwa od razu okropne kalendarze — ale za to przybyli nowi, nawet sto razy lepsi od takich Bodeków, ale cóż, kiedy nie urodziwszy się jeszcze, już zdążyli dojść do cmentarnego targowiska... Jeśli tego rodzaju *ruszanie się*, ma oznaczać postęp, to chyba niedaleko się zajdzie w ten sposób postępując... Cóż robić, każdy robi tak, jak może i, jak umie i nie wtedy myśli o tem, że dobrze robi, jak już zrobił, tylko przemyśliwa, jakby zacząć, a już się to jakoś skończy — no, i kończy się tak, jak kończą kalendarze lwowskie... Jest to także w swoim rodzaju nędza — może nawet gorsza od tej głodowej, jaka nas, podobno, w tym roku czeka i od tej „Nędzy“, którą tak ponuremi barwy opisał p. Szczepanowski. Przykra rzecz ten głód, nie ma co mówić, ale myśmy się trochę już do niego przyzwyczaili i z pewnością nie taki on będzie straszny dla naszego chłopa we wschodniej Galicji, jakby był dla wieśniaka w Saksonji, który przynajmniej raz na dzień, zjada potężny kawał mięsa. Wcale nie jest przesadzonem, że w niektórych okolicach wschodniej Galicji chłop nasz zawsze jest głodny, a dzień, w którym się najadł do syta, że już nic by jeść nie mógł, pamięta tak doskonale, jak swoje wesele, bo się także na niem objadł. Do utrapionych tedy różnych *kwestyj*, przybywa nam *kwestja głodowa*, którą się sejm, właśnie zajmuje. Oczywiście, i z głodem, i z pomocą tym, którzy głód cierpią musimy sobie radę dawać tak, jak możemy i jak umiemy, a sejm uchwalając n. p. pożyczkę dla głodnych, a nie bezzwrotną zapomogę, postępuje tak, jak ów ojciec licznej rodziny, znajdujący się w tarapatach pieniężnych:

— Dzieci — mówi do nich wieczorem — kto pójdzie spać bez kolacji, dostanie trzy grosze!...

Dzieci wołają:

— Ja! ja! ja! — wszystkie biorą po trzy grosze i idą spać.

Na drugi dzień, dzieci się budzą, naturalnie jeszcze bardziej głodne, jak zwykle, bo wczoraj kolacji nie jadły; to i owe zaczyna już trochę popłakiwać z głodu — więc ojciec woła:

— Dzieci, kto chce jeść śniadanie, niech da trzy grosze!...

Dzieciaki głodne, ma się rozumieć, oddają każde swoje trzy grosze, a ojciec oszczędziwszy wczoraj na kolacji, kupuje im dzisiaj za te pieniądze śniadanie...

Sejm nasz, w wielu kwestjach pieniężnej natury, musi się trzymać polityki owego ojca i nie tylko nie należy mu tego brać za złe, ale trzeba uznać najzacniejsze dobre chęci i wyszukiwanie sposobów, aby, o ile możności, był i wilk syty i koza cała, a właściwie, aby wilk był trochę głodny, koza także trochę głodna — jednak, żeby żyli koło siebie i, żeby koza nie miała nadwyrężonego grzbietu od zębów wilka...

Utrzymują niektórzy z naszych posłów, a między nimi Jerzy ks. Czartoryski, że bezzwrotna pożyczka dla dotkniętych głodem jest demoralizacją. Zdaje mi się, że w stosunku do naszego chłopa, jest to frazes i nic więcej. Najprzód, zapomoga w takich okolicznościach, jak powszechna klęska głodowa, nie jest zwykłą jałmużną, więc nie potrzebuje się nikt jej wstydzić, tak, jak nie będzie się wstydził najbogatszy lord angielski, gdy jako rozbitek, bez grosza, dostanie się na jakąś wyspę i tam go z litości nakarmią i odzieją — powtóre, nie to chłopa naszego demoralizuje, że wówczas, gdy go jaka klęska dotknie, pomogą mu, ale to, że go w innych sprawach faworyzują i nie robią odpowiedzialnym za takie postępki, za które inni ludzie srogo odpokutować muszą... Ale u nas wiele się takich rzeczy dzieje, które się dziać nie powinny — są przecież i tacy, którzy utrzymują, że nie należy chłopom rozdawać darmo książek, lecz trzeba koniecznie żeby je kupowali, bo wtedy ta książka ma u chłopa wartość, gdyż za nią zapłacił. Nie wiem, czy w krótkich słowach, można coś bardziej luźnego, od tak dla rozmowy powiedzieć, jak podobny frazes... U nas chłopi ci, którzy umieją czytać, a jest ich coraz więcej, nie dla tego mało czytają, żeby nie chcieli, ale dla tego, że brak odpowiednich książek tanich, a dobrych, któreby prosty umysł rozciekawiały, rozpalały, któreby treścią swoją pociągały do siebie, a jednocześnie uczyły. Nie ma u nas prawdziwych pisarzy ludowych, bo ci, którzy, w ogóle, teraz w tym kierunku piszą, nie mają po prostu iterackich talentów, tylko pewną pisarską rutynę. Dajcie chłopom czytać rzeczy z takim talentem napisane, jak n. p. powieści Marji Rodziewiczówny, w których pierwiastek ludowy i życie wieśniacze, tak zwykle wielkie zajmuje miejsce, a zobaczycie, czy chłop takiej książki nie kupi, kupiwszy ją nie przeczyta, a przeczytawszy, nie schowa dla swoich dzieci. Plecenie trzy po trzy i opowiadanie jakichciś bajek, niedołężnem piórem opisanych, nie pociągnie i prostych umysłów, które mają tę właściwość, że prawdziwy talent bezwiednie odczują i ocenią go... Ludzi nam potrzeba, aby było coraz więcej ludzi — ot i wszystko!

Nieboszczyk Lam.

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Ciąg dalszy patrz „Iskry“ Nr. 58).

VIII.

— A! Dąbrowski, — zawołał Kruszewski, spostrzegłszy pana Franciszka, idącego polem, w stronę lasu. — Możnaby zaraz dowiedzieć się od niego, czy wieść o napadzie na von Kramsta jest prawdziwą?

Pani Goldwein z córką, jadąc w odwiedziny do żerdzińskiego dworu, zaprosiła do swego powozu i barona Wendera i Kruszewskiego.

— Ach! tak, odrzekła Irena — Dąbrowski był podobno jednym z aktorów tego dramatu? Mamo, trzeba się zatrzymać, — panowie wypytają się o szczegóły zajścia.

Kiedy stanęły konie, Kruszewski wyskoczył z powozu, za nim poszedł i baron Wender.

— Panie Dąbrowski, bywaj! — nawoływał Stanisław.

— A to co znowu? — pomyślał pan Franciszek — wszędzie mnie dzisiaj wzywają. — I ułożył dłoń w daszek nad oczami, żeby spojrzeć pod jaskrawo zachodzące słońce, w stronę nawołującego. Zdawało mi się, że to głos pana Kruszewskiego, ale chyba nie... widzę paradjerski kocz sąsiadów bankierów, czegóż chcą ci?...

Lecz w tej chwili poznał stojących na gościńcu panów

— Nie omyliłem się, to pan Stanisław; ten drugi, to niemiaszek z Osin. Goście do nas, nie w porę, co prawda, ale cóż robić?

I skierował się przez bruzdę, w stronę gościńca.

— *Ma chère*, — ozwała się cicho pani Goldwein do córki, — przygotuj się, że dla wyrządzenia czci tobie, ta szlachcianka zrobi ci miejsce u swego stołu, przy tym ekonomie, który tu nadchodzi. *Autant de têtes, autant de sentiments.* W żerdzińskim dworze nawet folwarczna dziewka podobno ma prawo jeść z jednej miski z państwem, a zapewne i z gośćmi.

Irena uśmiechnęła się złośliwie:

— *Etes-vous aristocrate, maman? par exemple!*

— Jesteśmy bogaci i potrafimy inteligentnie używać pieniędzy naszych; możemy sobie pozwolić na ten zbytek dobrego i przyzwoitego towarzystwa. Ubóstwo więcej, jak wszystko na świecie, demokratyzuje ludzi. Wierz mi, panna Zapolska z potrzeby brata się ze swymi oficjalistami; fraternizacja ta zmniejsza podobno wydatki: służbę tam opłacają licho, muszą więc jednać ją przyjacielstwem, a poniekąd być na jej łasce.

W tej chwili nadszedł Dąbrowski; matka z córką przysłuchiwać się poczęły jego rozmowie z Kruszewskim.

— Co słychać w Żerdzi, panie Dąbrowski? — zapytywał ten ostatni.

— Nic nowego, — odpowiadał pan Franciszek — wszystko po staremu.

— Podobno chłopi żerdzińscy napadli na von Kramsta i pokaleczyli go?

Dąbrowski chrząknął i żachnął się, niby z niecierpliwości, niby z wielkiego podziwienia.

— Napadli na von Kramsta? — powtórzył — cóż to znowu za niemądra plo-

teczka!.. Zkądże się u kaduka wzięło to cudactwo, niemające w sobie źdźbła prawdy.

Kruszewski rozpowiedział wieści, które posłaniec w Drzazgowie z miasteczka przywiózł.

— Jako żywo, — przeczył oburzony Dąbrowski, — nic podobnego nie zdarzyło się dotąd; widzę w tem, chyba miasteczkowy, żydowski manewr, — wiadomo, bowiem, że żydzi mają anse na żerdzińców, za chrześcijańskie urządzenie Żerdzi. — Plotka, wierutna plotka!

— Dzięki Bogu! — rzekł Kruszewski. — Dziwna rzecz, dodał — żeby podobna wieść rozeszła się bez żadnej podstawy.

— Podstawa niby to jest, choć zupełnie fałszywa i nie mająca związku z rozsianą plotką. W istocie pan von Kramst uległ przypadkowi i został pokaleczony; wszelako nie przez ludzi..

— Tylko przez kogo?

— Przez wilków.

Tu Dąbrowski jął rozpowiadać baśń, ułożoną z von Kramstem na współkę o zajadłości wilków i o swym udziale w obronie napadniętego.

Rozchmurzyła się dotąd posępna twarz Kruszewskiego, Dąbrowski usunął wszelką wątpliwość z jego umysłu. Dąbrowski był przecie naocznym świadkiem wilczego zdarzenia.

Panowie wsiedli niebawem do powozu, ruszyły konie, — pan Franciszek pozostał sam na drodze.

— Jest w tem coś! — mówił sobie w duchu. — W kilka godzin po zajściu, lecą do Wilczanki. Goldwein z synem, choć się nie znają z von Kramstem... hm... za nimi, leci do nas bankierowa... chałupy żerdzińskie nawiedza, ni z tego, ni z owego, Lejzorek, dla dostania języka... Coby to znaczyć miał ten ruch Izraela w koło awantury z von Kramstem?

I Dąbrowski łamał sobie głowę nad dociekzeniem przyczyny, tak szybkiego rozpuszczenia w okolicy wiadomości o zajściu nad rzeką.

Gdy tak wpadał na rozmaite domysły i niepokoił się, że nic pewnego wysnuć z siebie nie mógł, nagle ktoś go znowu zaczepił.

— Pochwalony! — ozwał się głos od miedzy, przy łanie. — A to z przeproszeniem pana nadleśnego, jaśnie panienka kazali mi szukać pana, wedle naczelnika z miasta, co ci był w gminie.

Dąbrowski spojrzał podejrzliwie na mówięcego. Był to Jasiek Mikos, znany we wsi z różnej niecnotliwości.

— Czegóż to chcesz? — zapytał.

— Jaśnie panienka chcą, żeby pan pogadał z panem naczelnikiem, bo pan naczelnik był już w gminie, rozpytywał się o pana i o różności; teraz, to ci pojechał do wilczańskiego dworu, ale z powrotem, znowu tutaj będzie, jeno go patrzeć.

— Gdzie jest panna Jadwiga?

— A toć w Bartka chałupie, wedle tego...

— I ciebie po mnie przysłała.

— Juści mnie, bom się sam do tego nawinął.

— Lepiej, żebyś się ty do niczego nie nawijał, bo twoje nawijanie się, zawsze komuś na złe wyjść musi. Znam ja, coś ty za ptak!

— Ej, z przeproszeniem pana nadleśnego, ptak ci był kiepski, ale teraz dziękować Bogu i jaśnie panience, już inakszy jest; złe nawiedzenie siedziało w nim, a jak ci wciornasty z niego wylazł, toć chyba będzie człekiem, co się zwie.

— Póki iba wódką nie zaleje.

— „Gdzie zaś, panie nadleśny? gorzałki odkląłem się, tam, nad rzeką, — a dzisiaj wilczańskiego Lejzora przegnałem ze wsi, bo to Juda i człeka do wszelkiej piekielności nawodzi. Byłbym ci sprał niedowiarka żyda, jeno se miałem pomyślonek, ze jaśnie panienka boczy się od wszelakiego sprania i tyle.

— Któż cię tak naraz rozumu nauczył?

— A juści to! — odrzekł chłop, wydobywając szkaplerz z zanadrza. Ej, panie nadleśny, co było z Jaśkiem Mikosem, to było! ale ci teraz, to on nic, jeno w delikatności z panem, bo Jasiek Mikos dokumentnie już nie ten, co był dawniej.

— Byłeś nad rzeką u brodu? — zapytał Dąbrowski.

Chłop się wstrząsnął.

— Żeby ci choróbsko Bóg lepiej dopuścił! — odrzekł. — Co mam się utajać przed swoim?... byłem!... Chryste miej zmiłowanie! byłem, bom się wściekł. A no, Matka Częstochowska użałowała się mojej duszy i tyle.

Dąbrowski patrzył ze zdumieniem na tego chłopa o złych instynktach; znał jego liczne niecne sprawki, a uważał go za straconego; mimo, że panna Zapolska pracowała usilnie nad umoralnieniem tej grubej natury, pan Franciszek nie wierzył w nawrócenie Jaśka. Teraz Jasiek stał przed nim w jakiejś dziwnej, skruszonej pokorze, która go przeobrażała

— Kto tam zgadnie, jak panna Jadwiga radzi sobie? — pomyślał — to jednak pewne, że ona i dzikie zwierzę ugłaskać może.

A głośno zapytał:

— Gdzie naczelnik?

— Będzie w gminie.

— To chodźmy!

I obaj poszli, do gminnego domu, który stał nieopodal drogi, na skraju wioski

W kancelarji zastali już wójta, zaniepokojonego zjazdem władzy z miasta. Zdarzyło się tak, że w dniu dzisiejszym porozjeżdżali się wszyscy z gminy: wójt udał się do sławnego owczarza we wsi sąsiedniej, w celu porady lekarskiej na łamanie po kościach, które mu dokuczało; sołtys od wczoraj ucztował na chrzcinach w Pogonowie; pisarz znowu, pojechał o świcie do miasteczka, a ztamtąd miał odwieźć młodego Siedlickiego na kolej; — nikt tedy wiedzieć nie mógł dokładnie, co tu sprowadziło naczelnika. Ale Dąbrowski począł wyłuszczać rzecz całą, dodając jeszcze komentarze z własnych domysłów. Nikt, jeno żydzi naczynili tego bigosu. Nie napróżno Lejzorek z Wilczanki kręcił się tu rano, a następnie po południu, zapraszał Jaśka na wódkę do siebie; przytem napomknął kilkakrotnie o tym rozboju, który przecie zgoła nie miał miejsca.

Nadjechał pan pisarz, a z nim młody Siedlicki.

Michaś wybrał się do Warszawy, miał tam robić starania o przyjęcie go do uniwersytetu; lecz posłyszawszy, na stacji kolejowej, o tem, co się zdarzyło w Żerdzi, wrócił do domu.

Niebawem zjawił się naczelnik ze strażnikami; wiedział on już dokładnie od von Kramsta, co zaszło, a Dąbrowski zeznał toż samo, słowo w słowo.

Ciąg dalszy nastąpi).

Z New-Yorku,

Otrzymujemy z prośbą o umieszczenie następujący:

Protest*).

Od dość dawnego już czasu istnieją u nas za Atlantykiem dzienniki, które pod płaszczykiem służenia sprawie narodowej, oraz bronienia interesów swych ziomków i czytelników, szerzą raczej nieład we wszystkich czynnościach Polonji amerykańskiej, propagnjąc ideje niezgodne z duchem wiary naszej świętej, ani też wprost z zasadami prostej bodaj przyzwoitości — słowem, wprowadzają systematyczne rozprężenie wszelkiej spójni moralnej, jaka istniała potąd i jaka bezwarunkowo istnieć powinna pomiędzy wszystkimi członkami emigracji polskiej.

Ponieważ zarówno język, ton, wysłowienie, jakoteż sposób prowadzenia osobistych polemik i wdzieranie się w prywatne stosunki rodzin polskich, wyprowadzanie, wreszcie, na widownię publiczną osobistych zatargów i niegodziwych insynuacyj, plamią wprost imię każdego polaka, z tego też względu, my niżej podpisani, protestujemy niniejszem uroczyście, wobec całego kraju przeciw takiemu systemowi postępowania i oświadczamy zarazem, że z tego rodzaju dziennikarstwem nie mamy ani też mieć nie życzymy żadnej wspólności, i, że z czynami, działaniami owych panów, gwałtem narzucających się u nas na przewodników opinji publicznej nigdyśmy się nie solidaryzowali i na przyszłość też żadnej moralnej odpowiedzialności w obec kraju i ziomków naszych na siebie nie przyjmujemy.

Niniejszy solidarny publiczny nasz protest, prosimy uważać za stanowczą, a zarazem jedyną odpowiedź na wszelkie dalsze osobiste wycieczki i działania owych pism.

New-York, dnia 22. października 1889.

Na pierwszym egzemplarzu niniejszego protestu, przesłanym na wyraźne żądanie większości, redakcji „Dziennika Poznańskiego“ mieszczą się własnoręczne podpisy:

Władysław Biała, Ryszard Zieliński, Szymon Szudrawski, Józef Siwiński, Leopold Ombach, Dr. Zołnowski, Ig. Pawłowski, S. M. Leduchowski. A. Gromek. Antoni Fedliński, Piotr Paluch, Hugo Corsi, Józef Stawski, F. Kucharski, Antoni Chrzanowski, Jan Raczkiewicz, Piotr Ostaszewski, Malchior Sobieski, M. Strzelecki-Skrocki, Ludwik Strzelecki, Bronisław Smith, Wacław Zbroha, Ludwik Puniejowski, Klemens Łobaziński, Antoni Golubski, A. Chrontowski. Franciszek Bogusz, Stanisław Chyliński, T. Kornobis, A. Krygier, Jan Cholewiński, F. Kołdrowicz, Juliusz Rydzewski, Ignacy Tyczyński, Stefan Bederski, J. Paradowski, Aleksander Kwiatkowski, S. Tomnicki, A. Rzepczyński, M. Kraus, W. Trzaska, N. Tomaszewski, Jan Kopeć, Henryk Niedzwiecki, Piotr Linkiewicz, J. L. Dworzecki, J. Stodulski, T. Wiśniewski, L. R. Dworzecki, F. Zakrzewski, H. Klampel, T. Majewski, Edward Brysiński.

Teatr.

Otwarcie wyznać musimy, że nie możemy się godzić, bezwarunkowo, na to, aby przepiękny obraz z *Dziadów*, illustrowany prześliczną muzyką Moniuszki, który od dłuższego czasu był zawsze przedstawiany w dzień zaduszny, miał być zastępowany *Młynarzem i jego córką*, albo czemś podobnem... Gdyby niemcy mieli takich „Dziadów“, przedstawialiby ich zawsze z największym pietyzmem. *Młynarz i jego córka*, było zawsze rzeczą słabą, a dziś po sześćdziesięciu latach, osłabło jeszcze bar-

---

*) Ustęp protestu, w którym wymienione są tytuły pewnych dwóch pism, wychodzących w Ameryce i nazwiska ich redaktorów, uważanych przez niżej podpisanych, jako głównych sprawców tego złego — umyślnie opuszczamy, aby nas nie posądzono, o jakąkolwiek stronniczość, nadmieniając, że gotowi jesteśmy umieścić także głos przeciwny, byleby był napisany w tonie przyzwoitym, i nikogo nie obrażał. (*Przypisek Redakcji*).

dziej. Fantazja, rzeczy nadprzyrodzone, legendy — są udziałem poezji, ale poezji namaszczonej genjuszem poetyckim — w sposób zaś kucharski podane, zaczepić się chyba mogą o instynkta bardzo poziome... To, że *Młynarza i jego córkę* przetłómaczył ś. p. Władysław Sabowski nie przemawia na korzyść *Młynarza*, bo Sabowski w dawniejszych, szczególniej, czasach, dla zarobku tłomaczył bardzo wiele nie przykładając do tego, co tłomaczy literackiej wartości. *Młynarza* przełożył, bo sądził, że weźmie od niego, jaki teatr — tymczasem *Młynarz i jego córka*, nie grany był na polskich scenach do dzisiejszych czasów. Sabowski dla zarobku tłómaczył nawet i przerabiał rozprawy i artykuły z dziedziny rolnictwa dla pism specjalnych, choć był mieszczuchem i o nauce rolnictwa nie miał wyobrażenia..

Młynarz i jego córka przedstawiono na naszej scenie trzy razy. Czy na rok przyszły ma się w *zaduszki* powtórzyć — chyba nie. —

Praktyczne wiadomości.

Wyrzuty na twarzy. To, co nazywamy wyrzutami, występującymi bardzo często, szczególniej na twarzy, jest objawem fizjologicznym. Skóra zawiera w sobie mnóstwo gruczołków łojowych, które bezustannie wydzielają na powierzchnię skóry tłuszcz płynny, zwany łojem skórnym. Często zdarza się, że przewód gruczołka ulegnie zatkaniu w skutek nieczystości, a nawet często sam przez się. Wydzielanie jednak gruczołka, nie ustaje ani na chwilę. Ztąd też pod uformowaną chwilowo zatyczką przewodu, zbiera się ciągle wydzielina i tworzy wyniosłość, którą nazywamy wyrzutami. Z czasem krosta taka pęka, przewód gruczołka się otwiera i wyniosłość na skórze znika. Częstokroć jednak w krostce zbiera się ropa i tworzy się w następstwie mały wrzodzik.

Dla tego też, krostki takie są nader nieprzyjemne dla osób dotkniętych niemi, zdarza się, bowiem, że często cała twarz pokryta jest niemi. W celu usunięcia tych krostek radzimy następujący środek. Ćwierć łuta zwyczajnego, tak zw szarego mydła i ¾ łuta mydła glicerynowego rozpuścić w szklance dobrego spirytusu i dodać do tego jakiegokolwiek olejku eterycznego dla zapachu. Tak otrzymany płyn wcierać niezbyt silnie w skórę na dwie godziny przed spaniem. Po wtarciu twarz wytrzeć do sucha i posypać ją dobrym pudrem, lub mąką kartoflaną. Wreszcie, zmyć twarz ciepłą wodą z mydłem. Po kilkakrotnem zastósowaniu tego przepisu krostki znikają, zatyczki, bowiem, przewodu gruczołka wypadają. W celu utrzymania rostworu mydła, dobrze jest również używać dobrej wódki kolońskiej.

Hodowla bluszczu. Zielone zwoje bluszczu nietylko, że wdzięcznie ozdabiają mieszkanie, ale jeszcze stanowią najlepszy sposób oczyszczania w niem powietrza, dla tego też lekarze angielscy zalecają trzymania doniczek z bluszczem we wszystkich pokojach, nawet w sypialniach. Roślina ta nader łatwo się przyjmuje, doskonale rozwija się w cieniu, nigdy niewidząc słońca. Z powodu szybkiego wzrostu, co rok, przynajmniej, potrzebuje przesadzenia w świeżą ziemię. Co miesiąc trzeba ją podlać wodą z mydłem, lub nawozem płynnym; lepiej jest trzymać ją w mniejszych, niż większych doniczkach. Dla uchronienia liści od robactwa, trzeba je od czasu do czasu obmywać gąbką. Bluszcz angielski i irlandzki ma liście piękniejsze od zwyczajnego, dla tego też lepiej nadaje się do hodowli w mieszkaniu.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Pawłowski w New-Yorku. 4 dolary, jako dalszą prenumeratę roczną p. Jerzmanowskiego, liczącą się od 1. lipca b. r., otrzymaliśmy w liście rekomendowanym.

P. Faust we Lwowie. Możemy umieścić za opłatą w dziale „Nadesłane".

P. Prenumeratorowi z Buffalo (Ameryka). Nie mamy, ani czasu, ani potrzeby, ani nie widzimy żadnego pożytku, aby wdawać się w polemikę z ludźmi nie mającymi żadnego znaczenia, a przytem złymi i nieuczciwymi, którzy dziś gębą trzepną, a jutro, ani po nich, ani po tem, co robili, śladu nigdzie nie zostanie.

Ważne i interesujące.

Przejeżdżając przez **Zaleszczyki** d. 15-go kwietnia 1888 r. zadziwił mnie ogromny natłok ludu wiejskiego przy sklepie na którego szyldzie czytałem napis: **Skład nasion ogrodcwych i rolniczych Piotra Pawła Piestrakiewicza.** Potrzebując niektórych nasion, wstąpiłem także do sklepu, aby ich nabyć. Gdym wszedł, usłyszałem, jak pan Piestrakiewicz gorliwie i ze znajomością gospodarstwa pouczał ludzi, jak mają radykalnie gospodarować. Ludzie przysłuchiwali się z zachwyceniem i każdy odpowiednio do rady, kupował nasiona. Słyszałem, jak biedni wieśniacy mówili do siebie: „mój Boże, czemu to już dawniej nie było takiej poczciwej duszy między nami — do dziś lepiej byśmy się mieli, bo leży dużo roli puste, jak glinki, moczary, pole nieobsiane, tak, że i chudoby nie było czem wyżywić. A teraz będziemy szczęśliwi, gdyż dostaniemy wszystkiego, co naszym gruntom odpowiada, a w dodatku poczciwy człowiek nauczy, co u nas najwięcej znane i będzie czem trzodę wykarmić i dla gospodarstwa się także zostanie".

Rozpatrzyłem się po sklepie i obaczyłem **bardzo obfity skład rolnych, jarzynnych i kwiatowych nasion. Olbrzymi wybór wszystkiego.** Miejscowi ludzie mówili mi, że **każdego czasu dostać można nasion wszelkiego gatunku.** Potem wdałem się w rozmowę z właścicielem sklepu... P. Piestrakiewicz zainteresował mnie swoim układem. oraz zdolnościami fachowemi — zapytałem go — z jakich to przyczyn, tak dla ludu pracuje, pouczając go i informując. Czyn to prawdziwie chwalebny. P. Piestrakiewicz odpowiedział mi:

— Jestem ogrodnikiem fachowym, a przytem obeznany jestem z gospodarką rolną i domową. Mam dwie realności i w nich to prowadzę **hodowę przepysznych, najnowszych gatunków krajowych i południownch owoców — w właściwym czasie każdy może je odemnie po niskich cenach nabywać,** przytem widząc tu w okolicach wiejską gospodarkę w najokropniejszym stanie i bardzo źle prowadzoną, nie żałuję mej pracy i udzielam biednemn ludowi wiejskiemu informacyj gospodarczej. Aby mi to łatwiej przyszło, założyłem **skład nasion po największej części z własnej produkcji, w najintratniejszych gatunkach. Udzielam je ludziom po najtańszych cenach.**

W jakiś czas potem, bo już d. 5. sierpnia z. r., przejeżdżałem znowu przez Zaleszczyki i wstąpiłem do tego samego składu nasion Zastałem, jak zwykle gromadkę ludzi wiejskich, którzy w mojej przytomności składali podziękowania panu Piestrakiewiczowi za dobrą i korzystną naukę gospodarczą i **za doskonałe nasiona** — wszystkie płody podług jego rad i wskazówek doskonale się udały, a biedacy cieszyli się lepszą przyszłością.

To wszystko, co widziałem i słyszałem uważam sobie za święty obowiązek podać do publicznej wiadomości, gdyż takie dobrodziejstwa dla ogółu nie powinny zostać w ukryciu. **Sumiennie też polecam obywatelom mniejszej i większej posiadłości nasiona najwyborniejsze ze składu pana P. P. Pestrakiewicza w Zaleszczykach. Kto raz w tym składzie się zaopatrzy, ten już z pewnością nigdy się gdzieindziej nie uda.** (4860-st.-1)

W imieniu wielu:
Andrzej Zasilski.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.